Dodatek tygodniowy do „Głosu Narodu“

do Nru 128.

Polacy w Japonji.

Wszystko, co się tyczy Japonji, posiada cechę obecnej chwili i jest z wielkiem zainteresowaniem chwytane przez ogół. Ciekawe są wspomnienia z pobytu dwóch Polaków na ziemi japońskiej w czasach odległych, w r. 1636 i 1771. Pierwszym był misjonarz ks. Wojciech Męciński, który jako rektor kolegjum Jezuitów w Krakowie, za odmówienie imieniem zakonu płacenia dziesięciny z dóbr Gołąb, został wygnany z kraju; udał się przeto do Rzymu, a potem do Portugalji, gdzie w mieście Ebor odbywał studja teologiczne i w roku 1633 wypłynął z Lizbony na azjatycki Wschód.

Drugim — słynny Beniowski, bohater wspaniałego poematu Słowackiego.

Oto jakie ciekawe szczegóły pobytu w Japonji tych pierwszych Polaków — kreśli w feljetonie „Kurjera Warszawskiego“ p. Władysław Bożywojowicz.

Okręt, na którym wypłynął ks. Męciński z Lizbony, zaledwie po pięciu miesiącach zawinął do miasta Goa w Indjach; na morzu skutkiem zaraźliwych chorób, połowa podróżnych wymarła, a między nimi przełożony wyprawy, O. Alvarez, po którym O. Męciński objął przewodnictwo. Dobiwszy do lądu azjatyckiego, długo jeszcze oczekiwał na sposobność dostania się do Japonji, gdyż zazdrosna o monopol handlowy flota holenderska, zniszczyła okręty hiszpańskie i portugalskie. Dopiero w roku 1633 odpłynął z Malaki do Makao, lecz po za Singaporem wpadł w ręce korsarzy holenderskich. Ci odwieźli jeńców na Formozę i wydali w ręce komendanta forteczki holenderskiej Tagna. Męcińskiemu i jego towarzyszom dawano lichą strawę i kazano pasać bydło. Aliści znajomość sztuki lekarskiej wyzwoliła ks. Męcińskiego; uleczył ciężko chorego syna gubernatora holenderskiego, więc po półrocznej niewoli odesłano go do Kochinchiny i wypuszczono na wolność.

Przebywszy czas jakiś w Makao i na Filipinach, misjonarz polski spróbował znowu przedostać się do Japonji, do pozostałych tam skrytych chrześcijan, ażeby im nieść pociechę. Już w dniu 11 sierpnia 1642 roku wylądował na wyspie japońskiej Taksuma. Towarzyszyli mu księża misjonarze: Antonino Rubino, Antoni Capei, Djak Morales i Franciszek Marquez. Natychmiast jednak wpadli w ręce pogan i stawieni byli przed sądem. Zapytani, czy wiedzą, iż cesarz Ksogun zabronił surowo przebywać chrześcijanom w swojem państwie, odpowiedzieli twierdząco. Wtedy wezwano ich do wyrzeczenia się wiary i podeptania krzyża, a kiedy tego odmówili uczynić, wzięto ich na torturę wodną. Przywiązanym do deski wlewano lejkiem wodę, a potem drugą deską, jak w prasie, wygniatano ją pospołu ze krwią, rzucającą się gardłem. Kiedy przez siedm miesięcy zadawane męczarnie nie zdołały skłonić misjonarzy do zaparcia się Boga, sąd japoński wydał na nich wyrok śmierci.

W dniu 17 marca 1643 roku zawleczono ich na miejsce stracenia i zawieszono nogami do góry na pięciu szubienicach, głowy zanurzono po usta w dołach, pełnych wody cuchnącej. W tak rozpaczliwem położeniu przyszło im oczekiwać wybawicielki śmierci. Najpierw zmarł ks. Rubino, a nazajutrz 23 marca 1643 roku wydał ostatnie tchnienie ks. Męciński. Ciała ich porąbano, spalono, a prochy wrzucono do morza. Takiż los spotkał jednocześnie dwóch świeżo nawróconych chrześcijan: Japończyka i Kochinchińczyka.

Wieść o tem męczeństwie na długo powstrzymała prace apostolskie w Japonji.

Trzeba było osobliwego trafu, aby szlachcic polski stąpił nogą na ziemię japońską.

U brzegu jednej z wysp pomiędzy Kamczatką a Japonją przystanął niewielki, lecz dobrze uzbrojony okręt. Wysiadła z niego garść ludzi, którzy przekonawszy się, iż wyspa jest nie zamieszkana, zaopatrzyli się w ryby, owoce i wodę słodką. A przed odpłynięciem w dalszą drogę, wystawili krzyż nad brzegiem z napisem:

„Roku 1771, dnia 16-go lipca, okręt św. Piotra i Pawła stanął na kotwicy w porcie tej wyspy pod komendą Maurycego Augusta Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego, jenerała wojsk Rzeczypospolitej Polskiej, zabranego w niewolę na wojnie i wygnanego do Kamczatki, skąd za pomocą swego męstwa wydobyć się potrafił. — Wyspa ta jest pusta, pod dostatkiem jednak na niej ptactwa i rozmaitej zwierzyny; nadbrzeża obfitują w przewyborne ryby, a owoce i woda są na niej zdrowe“.

Niebawem Beniowski dotarł i do wysp zamieszkałych. Czasy już się nieco zmieniły. Japończycy przyjęli go na razie z nieufnością i ostrożnościami, ostatecznie podejmowali go hojnie i dostarczyli, ile chciał żywności w zamian za futra sobolowe i bobrowe. Zapraszali go nawet, aby z nimi handlował. Dopiero przy opuszczaniu ostatniej z wysp japońskich straż morska chciała jego okręt przytrzymać, ale jedna i druga salwa z dział kazała im zamiaru zaniechać.

Przeświadczony, iż nie masz na co liczyć w tych stronach — pisze Beniowski — kazałem podnieść kotwicę i żeglugę ku południowi obrócić“. Przeznaczone mu było zginąć nie od strzały japońskiej, lecz od kuli francuskiej na Madagaskarze...

NA MOGIŁACH.

Stary Noirault był dzierżawcą średnio zamożnym. Pracował i zabiegał, lecz w życiu nie był szczęśliwy. Owdowiał wcześnie, a odprowadzając pod czarny krzyż na mogile zwłoki ukochanej żony, przysiągł, że będzie się opiekował pozostałą córeczką, Martą, jak matka.

Dotrzymał słowa. Wychuchał, wypieścił Martę, wychował na dorodną pannę i wydał za mąż za bardzo przyzwoitego leśnika. Ale leśnik miał przeprawy z kłusownikami; pewnego dnia napadli go i zabili. Żona była obecną przy napaści.

Zemdloną odniesiono do domu. Nieszczęśliwa kobieta dała życie synowi i przeniosła się za mężem do lepszego świata. Stary dzierżawca przyjął z pokorą cios losu, zapłakał gorzko nad świeżemi mogiłami i znów poprzysiągł, że zaopiekuje się wnukiem do ostatniego tchu życia.

I znów stary dotrzymał słowa. Był dla wnuka, małego Karola, mamką i nianką, wszystkie chwile wolne od pracy poświęcał pieszczotom z maleństwem, a gdy dziecko podrosło, zajął się jego wychowaniem, oddał do szkół.

Pamięć o córce posunął stary do czci prawie religijnej. Nieboszczka Marta miała przyjaciółkę, Maryję, która była chrzestną córką Noiraulta. Maryja wyszła za lekarza z pobliskiego miasta. Lecz mąż poszedł na wojnę, niosąc pomoc w ambulansie rannym i chorym w odległym Tonkinie i sam padł ofiarą żółtej febry. Gdy wieść o tem doszła do domu, Maryja zachorowała ciężko i umarła, zostawiając małą córeczkę. Sierotkę samotną wziął do siebie dzierżawca, zajął się umieszczeniem pewnem jej skromnego mienia, a dziecko utrzymywał własnem staraniem i własnym kosztem. Janinka chowała się razem z Karolem i między dwojgiem sierotek zawiązał się węzeł najtkliwszego stosunku.

* * *

Karol skończył szkoły i osiadł na roli. Był prawą ręką dziadka, który pokochał w nim nietylko syna swej jedynaczki, ale i najlepszego przyjaciela. Stary patrzał z lubością na dwoje młodych, a jak to bywa w powieściach, młodzi pokochali się gorąco. I żyło tych troje szczęśliwych, jak w sielance.

Ale przyszło znów nieszczęście. Stary dzierżawca zapadł ciężko na oczy. Karol sprowadzał lekarzy z pobliskiego miasta, wreszcie pojechał do Marsylji i przywiózł znakomitego okulistę.

Wyrok uczonego lekarza był okrutny. Staruszek był zagrożony rychłą ślepotą. Proces zaniku wzroku już się rozpoczął.

I młodzi postanowili ukryć przed nieszczęściem widmo bliskiego kalectwa. Karol zabrał się energicznie do gospodarstwa. Przejął od starego rachunki, klucze i książki; sam wyjeżdżał w pole, sam prowadził interesy z kupcem zbożowym i leśnym, ujął w młode ręce zarząd skromnem mieniem, które wyżywić miało troje kochających się nad życie istot.

— Jestem w rozpaczy — mówił do Janiny — że sprawa mego poboru wojskowego nie da się załatwić na miejscu. W czasie wojny nie mogę się powołać na przywilej opieki. Za pół roku wezmą mię do wojska. Otóż obmyślałem sposób, który mi pozwoli zaoszczędzić sześć miesięcy przerwy w mej pracy stawię się sam jako ochotnik, rozpocznę służbę o pół roku wcześniej, a o rok cały prędzej ją skończę.

Zwierzyli się z planu staremu. Pochwalił go, prosił tylko, aby Karol został w Europie.

— To niemożliwe. Służka w armiji krajowej nie da mi przywileju. Rok w Afryce lub na wyspach pozwoli mi pozbyć się ciężaru, którego, jako obowiązku obywatelskiego, lekceważyć mi nie wolno.

Uradzono więc, że Janinka pomagać będzie staremu w gospodarstwie, właściwie prowadzić je sama, a Karol wyjedzie jaknajprędzej do wojska.

Pożegnanie nastąpiło na mogiłach i tam stary dziadek pobłogosławił młodych po raz pierwszy, jako narzeczonych.

I Karol pojechał w świat, przyrzekając pisywać regularnie co tydzień.

Tymczasem ślepota starego uczyniła go zupełnie niezdolnym do pracy. Młoda dziewczyna z poświęceniem oddała wszystkie swe siły gospodarstwu, a miłość dla dziadka i wnuka sił jej nadzwyczajnych dodawała.

Stary zaś, siedząc przed domem, każdemu z przechodniów, którego kroki słyszał, mówił:

— Czekam na listonosza. Dziś właśnie spodziewam się listu od wnuka. Z pewnością doniesie mi o nowem zwycięstwie nad dzikusami, co napadają na nasze posterunki i mordują naszych żołnierzy. Ale mój wnuk nie przyniesie wstydu sztandarowi francuskiemu.

I stary codziennie teraz wysiadywał przed domem, codziennie wyczekując na listy, nie zważając na chłodne dni i wieczory.

* * *

Pewnego razu listonosz przyszedł bez listu.

— Czy nie przyszły listy z okrętu marsylskiego? — pytała Janina.

— Owszem, przyszły, ale dla panienki nie mam żadnego.

Gdy po tygodniu znów tę samą wieść przyniósł, płacz dziewczyny zatrwożył dziadka i kilkudniowa ciężka choroba była następstwem tego milczenia z dalekiego Madagaskaru.

Janina, chociaż serce jej krajało się z bólu, chociaż noce bezsenne i gorące modły na mogiłach okupywały te rozpaczliwe wysiłki — obmyśliła niewinne oszustwo:

— Jest list! jest list! — zawołała raz do dziadka.

— Przeczytajże go coprędzej!

I biedna dziewczyna przez łzy zaczęła improwizację listu od Karola. Z czystej kartki czytała, jak mu tam dobrze, jak tęskni za dziadkiem i narzeczoną, jak się cieszy na myśl powrotu.

Taka okrutna scena powtórzyła się kilka razy, a tymczasem na rozpaczliwe listy i depesze nie

otrzymywało dziewczę żadnej odpowiedzi. Wreszcie postanowiła napisać do władzy wojskowej.

* * *

— Dziś mam dla panienki list, pewnie z dobremi wiadomościami — rzekł po kilku tygodniach poczciwy Jakób, listonosz.

— Dawajcie prędzej, ojcze Jakóbie!

Dziewczyna schwyciła list, rozerwała wielką kopertę i czytała:

„Ministerjum wojny. Oddział armji na Madagaskarze.

Do p. Noirault, dzierżawcy.

Donosi się na jego zapytanie, że Karol M. jego wnuk, zginął przed dwoma miesiącami w potyczce z plemieniem rozbójniczem. Jego waleczność przynosi zaszczyt chorągwi francuskiej. Pochowany na Madagaskarze pod krzyżem z odpowiednim napisem".

Janina padła bezprzytomna, a gdy przyszła do siebie, pierwszą jej prośbą było, aby nic nie mówiono dziadkowi, który leżał od kilku dni ciężko chory. Zdobyła się na tyle hartu, że zbliżyła się do łóżka i odczytała staremu papier w ten sposób, że zawierał jaknajlepsze wiadomości, i zapowiedź rychłego powrotu. A gdy przy ostatnich słowach serce odmówiło posłuszeństwa i jęk miał zagłuszyć słowa kłamstwa, spostrzegła, że starzec, uśmiechnięty, zasnął na wieki...

Janina pochowała starca i opuściła kraj rodzinny. W kilka tygodni potem modliła się na mogile samotnej, w pustyni Madagaskaru. Przybrała suknię zakonną i jako siostra miłosierdzia poświęciła się pielęgnowaniu rannych towarzyszów broni swego Karola.

SĘP

OPOWIADANIE przez MIKOŁAJA MASASI.

Przekład z włoskiego.

Bandyta podnosił się z trudnością, z głową zbolałą i pięścią zgniecioną, i z uwielbieniem, bez urazy, pomrukiwał:

— Jezus — Maryja! co za pyszne uderzenie pięścią!

— Zatem — odezwał się Wilcza Paszcza, zwracając się do bandy — skończmy te dziecińństwa. Chcecie, żeby Sęp był naszym towarzyszem, na takich samych prawach, jak każdy z was?

— Tak, tak, tak! — wykrzyknęli wszyscy chórem.

— A więc dajmy mu pocałunek przyjaźni i braterstwa.

Powstali.

Młody człowiek stał nieruchomy, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, zatopiony w głębokiej zadumie.

Jeden po drugim bandyci podchodzili, całowali go trzy razy w policzek, mówiąc:

— Na życie i na śmierć:

Sęp powtarzał nie poruszywszy się i nie oddając pocałunku.

— Na życie i na śmierć;

Następnie, gdy wszyscy powrócili na swoje miejsca, nowy towarzysz stał ciągle, górując nad tamtymi wysoką postawą i po chwilowem milczeniu, zaczął:

— Przyjaciele, lasy Sila muszą do nas należeć. Bez litości dla tych, którzy chcą nam ich zaprzeczać! Chcę używać, używać, niech nic nie staje na przeszkodzie, moim pragnieniom, bądź gdybym zabił człowieka, aby mieć cygaro, bądź gdybym wioskę podpalił, żeby mieć butelkę wina... A potem, co mnie to może obchodzić, umrzeć na szubienicy czy na rusztowaniu?

— Przebóg, jakie kazanie! Dom Parbilli, proboszcz w mojej wiosce piękniejszego nie wypowie! — wykrzyknął Bufon.

— Nie słyszałeś, że przez dziesięć lat uczył się z książek? — zrobił uwagę Duży Piotr.

— Ja i wszyscy moi towarzysze, jesteśmy z tobą — rzekł Kapral. — Masz rację! zabijać, kraść, rabować, napychać żołądki dobrem pożywieniem i szlachetnem winem, napełnić las echem krzyków, śmiechów, strzałów, jęków i śpiewów tak, to jest nasze życie i jesteśmy gotowi... Co mamy robić?

— Powiem w bezpieczniejszem miejscu, które ja znam sam jeden. Chodźcie ze mną.

Cała banda zerwała się na równe nogi. Już świt ubielił niebo, bez chmurki i las zdawał się budzić, ptaki świergotały w krzakach, a wiatr poruszał drzew wierzchołki.

— Znam ja jedną grotę wielką, głęboką, z podwójnem wejściem, podzieloną na liczne kryjówki — mówił Sęp. — Tam będziemy jak w fortecy. Chodźcie.

Zbójcy poszli za młodym człowiekiem, z oczyma bacznemi na wszystko, ze słuchem wytężonym, z palcem na cynglu fuzji.

Kulas, który szedł ostatni, rzekł do Dużego Piotra.

— Zdaje mi się, że będziemy się dobrze bawić!...

HISTORJA SĘPA.

Wypada cofnąć się o jakie lat piętnaśaie w tył, ażeby wiedzieć co popchnęło Sępa do tego desperackiego postanowienia.

Baron Lucjan Antriani, przepędził większą część życia na podróżach, a wielki majątek pozwolił mu używać wszelkich rozkoszy.

Nareszcie widząc zbliżającą się starość, znużony fizycznie i moralnie, usunął się do jednej ze swych posiadłości w Sila, gdzie na skraju lasów wznosił się budynek ciężki, z murami zębatymi, wieżami i bramami okutemi żelazem, podobniejszy do fortecy niż do siedziby magnata.

Zimą. śnieg gromadził się dokoła zamku tak obficie, iż zasypywał bramę wjazdową, wtedy wchodzono wewnątrz po mostach zwodzonych, przytwierdzonych do okien pierwszego piętra.

Baron Antriani mieszkał tam zimą i latem obsługiwany przez dwunastu swoich strażników leśnych, którzy oczekiwali na rozkazy w dużej kuchni przed płonącym ogniem na kominie, gdzie pan ich przychodził często, siadał na ciężkiej ławie drewnianej, o poręczy rzeźbionej i zdobnej koroną baronowską.

Zatopiony we wspomnieniach, pozwalał strażnikom opowiadać przy sobie stare legendy leśne i historje o zbójcach.

W dzień siedział ciągle zamknięty w swoim pokoju, do którego wchodził tylko dzierżawca i stara służąca, dawna mamka barona.

Baron miał krewnych w Cosenza, którzy uważali go za starego szaleńca; ale, ponieważ byli jedynymi jego spadkobiercami, utrzymywali z nim stosunki rodzinne i co rok go odwiedzali, udając wielkie przywiązanie, mieli nadzieję, że te ostre wielkie zimy, spędzone w ponurym zamku przyśpieszą koniec starego mizantropa.

Pewnego dnia baron dowiedział się, ze został opiekunem małej dziewczynki, dalekiej krewnej, sieroty bez ojca i matki, posiadającej znaczny majątek.

Przyjął ten obowiązek, a nie chcąc powierzyć dziecka rękom płatnym, postanowił zabrać je do siebie, aż do czasu, kiedy odeśle dziewczynkę dla dokończenia edukacji do dużego klasztoru we Włoszech lub zagranicę.

Niedługo potem w starym zamku rozbrzmiewały dźwięczne śmiechy, wesołe głosy, słodkie krzyki małej Blanki, która była biała jak lilja, z oczami ciemnemi i włosami jasnemi, jak złoto.

Lecz starożytna siedziba nie zmieniła wyglądu: baron przesiadywał w dalszym ciągu w swoim pokoju, podczas gdy w dziedzińcach lub w kuchniach strażnicy spełniali swoje czynności.

Dzierżawca przychodził dwa razy tygodniowo zdawać rachunki, widywano także czasem ukazującego się pomiędzy gęstemi sosnami, siedzącego na silnej klaczy, barona, pięknego starca o śnieżnej brodzie i twarzy zciemniałej od słońca i wichrów.

Pod czujnem okiem mamki swojej, dziewczynka rosła zdrowo, rozwijała się na silną kobietę, uwielbiana przez barona, rozpływającego się z radości, gdy patrzył, jak bawiła się na tarasie wśród jego strażników, dla których była bożyszczem: owczarz sadzał ją jak na konia na dużą owcę, pastuch na grzbiet wołu, a nawet wielkie psy podwórzowe pozwalały się ciągnąć za uszy ładnemu dziecku.

Pewnego wiosennego dnia zatrzymał się przed zamkiem orszak ludzi zbrojnych, towarzyszących swemu władcy i panu, baronowi Leonardowi Perfetti, krewnemu barona Lucjana Antriani.

Baron Perfetti był zwrostu małego, okrągły i tłusty, znany w całej okolicy ze swego skąpstwa i złego charakteru, nienawidził bowiem wszystkich, bogatych przez zazdrość, ubogich przez dumę. Jednak pokorny był i uniżony wobec krewnego, którego był jedynym spadkobiercą i udawał wielką dla niego przyjaźń.

Baron Antriani przyjął go u drzwi i pozwolił się ucałować, chodź ze źle ukrytą obojętnością.

— Potrzebowałem koniecznie widzieć cię kuzynie — mówił Leonard, gdy weszli do salonu. Nie mogłem oprzeć się tej chęci, chociaż dziesięć godzin jazdy na koniu, jest bardzo męczącem w moim wieku. Co za myśl zamykać się na pustkowiu, zdala od wszelkiej pomocy, gdyby się co złego przytrafiło.

— Powtarzałem ci nieraz, że bardzo mi tu dobrze i że nie chcę nic zmieniać w mojem życiu.

— Rób, co chcesz! — rzekł Leonard z gestem rezygnacji. Przykro mi, że moje dzieci, które cię uwielbiają, nie mogą cię widywać, przedewszystkiem Lucjan, twój chrześnik. Żebyś go zobaczył, jak wyrósł na pięknego chłopca!... Ah! ten przyniesie zaszczyt swojemu nazwisku: odważny, dumny, samowolny! Ale, ale, a twoja pupilka? Wiesz, że za dziesięć lat będzie ona prawdziwym królewskim kąskiem: miljon posagu, wszak prawda? Chciałbym ją ucałować, mówiono mi, że to jest cudowne dziecko...

Baron Antriani zapalił cygaro, słuchał tego gadania z miną znudzoną i odpowiedział obojętnie:

— Blanka jest trochę zmęczona i nie opuszcza swojego pokoju: zdaje mi się nawet, że zasnęła. Zobaczysz ją innym razem..

Leonard zagryzł usta i nie nalegał; lecz po obiedzie, podczas, gdy służący podawał kawę, odezwał się:

— Czy wiesz? Mam jeden projekt w głowie i pewny jestem, że go pochwalisz.

— Przedstaw ten projekt,

— Małżeństwo... — rzekł Leonard, opierając się łokciami na stole i uśmiechając się porozumiewająco.

— Małżeństwo? Dla kogo, na żywy Bóg!

— Dla Blanki... z moim synem.

Baron Antriani przechylił się w tył na krześle z wielkim wybuchem śmiechu.

Kuzyn patrzył na niego ździwiony, nie wiedząc, czemu przypisać tę wesołość.

C. d. n.

KAZIMIERZ GABRYELSKI.

Z trzecim Majem...

I.

Z trzecim Majem
Ponad krajem
Zajaśniało słońce,
Zaświeciło
Nad mogiłą,
By z martwych budzące,
I ozwały
Się hejnały
Ot widno „co czyje“,
Ot zaranie,
Zmartwychwstanie,
Jeszcze Polska żyje!

II.

Z trzecim Majem
Ponad krajem
Zajaśniało słońce,
I zerwały
Się ze skały
Orły latające!
Ziemia zwidła,
Szumią skrzydła,
Powstańcie do dzieła,
Słońce świeci,
Orzeł leci,
Jeszcze nie zginęła!

Wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.